

„Arszenik i stare koronki” w teatrze. Scenografia była wspaniała...

... samo przedstawienie, niestety, już trochę mniej. Jak w tytule - arszenik był, koronki też.

Ale obie te rzeczy były nieco... zetlałe.

MILENA ORŁOWSKA

„Arszenik i stare koronki” to czarna komedia autorstwa Josepha Kesselringa, przebój scen Broadwayu z lat 40., przeniesiony na ekran w 1944 r. przez Franka Caprę. Sobotni spektakl był pierwszą premierą nowego sezonu w płockim Teatrze Dramatycznym. Reżyserował dyrektor teatru Marek Mokrowiecki, w rolę niosących ukojenie cierpiącym (ale uważa, za pomocą arszeniku) uroczych starszych pań wcieliły się ukochane przez publiczność Grażyna Zielińska i Hanna Zientara.

Na początek o mocnej stronie spektaklu - scenografii. Jej autorem jest Krzysztof Małachowski, który dla naszego teatru zaprojektował już wcześniej „lustrzaną” scenografię „Poskromienia złościcy”. Nie zawiódł i tym razem - zbudował sugestywne wnętrze „najstarszego na Brooklynie” domu, odpowiednio wyblakłe, szarawe

PIOTR AUGUSTYNIAK / AGENCJA GAZETA



Spektakl będzie można zobaczyć jeszcze na początku października

i bardzo stylowe, na tle wieżowców Nowego Jorku lat 40. Swoją rolę zagrały także cienie nietoperzy, które opanowały scenę na początku przedstawienia i zabawne, wycięte z kartonu sylwetki 12 panów, których nasze leciwe siostrzyczki wyprawiły na tamten świat, zaprezentowane w rzędzie na scenie na zakończenie sztuki.

Przeurocza była para naszych protagonistek - Zielińska i Zientara z godnością tłumaczyły zdumionemu bra-

tankowi, że panowie zmarli od trucizny, którą wlewały do wina, bo w herbacie było ją jednak bardzo czuć. I że wprawdzie wysłały na tamten świat tuzin starszych panów, ale „do kłamstwa nigdy się nie zniżą”. To właśnie one wniosły do spektaklu najwięcej wdzięku i humoru. Zabawni byli także ich bratankowie - Szymon Cempura w roli Mortimera (to on jako pierwszy odkrywa tajemnicę zabójczych cioteczek), Marek Walczak

jako jego brat Teddy, któremu wydaje się, że jest Napoleonem, a w piwnicy zakopuje nie ofiary starszych pań, a „wirusów spod Berezyny”. A przede wszystkim Mariusz Pogonowski, jako trzeci z braci, Jonattan, zbiegły przestępca, któremu chirurg-pijak nadał nowy wygląd... nigdy nie zgadniecie kogo (nie chcemy psuć niespodzianki).

Sami więc widzicie - to nie mogło się nie udać. Świetna scenografia, do-

bre role, zabawny tekst. A jednak coś nie zagrało. No dobrze, nie będę ukrywać, że chwilami wręcz się... dłużyło. „Arszenik” to nie farsa, nie chodziło o to, by bite dwie godziny zaśmiewać się do rozpuku, ale w sobotę w teatrze publiczność szczerze i spontanicznie śmiała się tylko trzy czy cztery razy. I właściwie trudno powiedzieć, co się stało. Czy sztuka po prostu się zestarzała? Czy była przydługa, bo czasami odnosiłam wręcz wrażenie, że postacie powtarzają kilka razy niemal te same kwestie? Czy może reżyser wrzucił za dużo grzybów w barszcz? Bo były w tym wszystkim i uroczy domek z dżemem wiśniowym na stole, i momenty, w których miało wiać grozą: ciemność, świece, Vivaldi na ponuro, a także niczym nieuzasadnione płasy Mortimera i jego dziewczyny - w tej roli śliczna jak z obrazka Sylwia Krawiec - rodem z hollywoodzkiego musicalu (Marek Mokrowiecki chyba lubi, kiedy nagle jego postacie zaczynają tańczyć). I nawet przepychanki z policją rodem ze slapsticku.

Spektakl będzie można zobaczyć jeszcze na początku października, i oczywiście każdego do tego namawiam - dla aktorów, scenografii, no i po prostu dlatego, że to teatr. Ale nie mogę ukryć, że w sobotę wychodziłam z niego nieco zawiedziona. ●